

Tam, gdzie uczy się jak zabijać

Właściwie nie pamiętam zbyt wiele. Może pamięć sama zadbała o to, by wykasować, usunąć z mojego umysłu wszystko, z czym nie za bardzo mogłabym sobie poradzić? A może już od samego POCZĄTKU było ze mną tak, że nie widziałam tego co złe...?

Pamiętam kilka obrazów z tamtego okresu, kiedy byłam dzieckiem. Tak naprawdę, to wówczas byłam kimś zupełnie innym, niż teraz ale o tym później...

Obrazy zlewają się ze sobą, zazębiają, jeden zahacza o drugi...

Pierwszy obraz. Ile mogę mieć lat? Z pewnością było to jeszcze wtedy, kiedy kazano nosić mi cienkie jak mysie ogonki warkoczyki, a ucięta równo grzywka kończyła mi się karnie i równo nad oczami. To wówczas widziałam tamto - haki, pozaginane ukośnie w górę, jak palec nastolatka, krzyczącego: „FUCK YOU!”. Wtedy nikt jeszcze nie potrafił tak krzyczeć. Staliśmy grzecznie, w równym jak moja grzywka szeregu, a pani od środowiska wyjaśniła nam: „*To są właśnie połtusze*” lub plotła podobne bzdury... A ja myślałam, że muszę tak stać i że nic na to nie poradzę, zresztą - jak daleko pamięcią sięgam - wszczepiano nam myśl, że tak właśnie POWINNO SIĘ CZYNIĆ. Że to zwyczajne prawo przyrody. Zwyczajne i na tych hakach wisały powyciągane, ciężkie, zmaltretowane ciała...? *Kap-kap*. Pojedyncze czerwone kropelki odbijają się jednostajnie od podłogi.

Chyba nie miałam wtedy nawet poczucia, że mogę powiedzieć „nie”. Zresztą wszyscy - staliśmy tak tylko i staliśmy... a tamte ciała wisały i wisały, kołysząc się, ile razy w ruch szedł stalowy mechanizm powodujący, że rząd posuwał się do przodu. Nad głową pojawiały się wtedy inne ciała. A potem one też się przesuwały.

To było takie NORMALNE. Wszystkie klasy prowadzono przecież na wycieczkę do rzeźni. Tak teraz nazywam tamto miejsce - bo cóż z tego że nowoczesnym rzeźniom nadaje się dziś cywilizowane brzmiące (!?) nazwy - Zakłady Mięsne? W rzeczywistości jest to ta sama prawdziwa jatka. Tylko, że tym razem jest wielka, ogromna, jak kombinat.

* * *

Wszystkie dzieci - w ramach poznawania swojego miasta - musiały zaliczyć wyprawę do miejskiego muzeum, wycieczkę na zamek książąt mazowieckich, nad zalew... jeszcze jakiś oddział Zakładów Narzędzi Pomiarowych - no i ta rzeźnia właśnie, chluba miasta. Miłe panie w śmierdzących osoczem fartuchach częstują wybrańców plasterkami salcesonu, a wszystko pod rządami tamtych ciał. A wszystko przy tym nieustającym *kap-kap-kap*. Koniec.

Drugi obraz. Klasa. Biała kreda ślizga się po tablicy. Skrzywienie powoduje, że zaciskam oczy. Ale zaraz przecież zaciskałam je już wcześniej, jeszcze zanim biały odcinek zaczął ślizgać się i jeździć po zielonej płaszczyźnie. Zaciskam powieki bardzo mocno, tak jakbym bała się otworzyć. Więc może to wcale nie skrzywienie...? Pani naturalnym głosem zadaje pytanie:

- No to co wam się najbardziej podobało w mieście?

Chyba powiedziałam wtedy, że zalew.

Trzeci obraz. Idę do szkoły. Granatowy worek z kapciami obija się o nogi, jednostajnie i boleśnie. ... Jednostajnie?

Rytm jest taki sam, jak rytm spadających kropli. W połowie drogi zawsze czeka grupa szesnasto-, siedemnastolatków. Ale czasem, kiedy przechodzę, ich już nie ma. Albo właśnie podjeżdża autobus, tamci wsiadają. To *nowi*, uczniowie szkoły przyzakładowej. Pojechali tam, gdzie ja byłam wczoraj.

Tam, gdzie tak prosto uczy się, jak można nie wiedzieć, widząc.

Czwarty obraz. Jadę samochodem. Siedemdziesiąty kilometr, siedemdziesiąty piąty...
Czekam na siedemdziesiąty siódmy kilometr od Warszawy. Wiem, że to tutaj zobaczę herb miasteczka, w którym kiedyś kazano mi mieszkać. Rawa Mazowiecka. I przerwana, powyginana, czerwona kiełbaska na żółtym tle, kolorystyka przypominająca popularne znaki kupującej świat firmy Mc Donald. *Wielka rzeźnia* dba o swój wizerunek bardziej umiejętnie niż miasto. Prawdziwy herb zobaczę dopiero na siedemdziesiątym ósmym. Pierwszy jest ten - herb rozpadającej się jatki, która już niejedną raz miała zostać zlikwidowana, a ja cieszyłam się wtedy jak dziecko. Zawsze jednak udawało się ją ocalić.

- Czy wiesz, jak wiele osób straciłoby pracę? - wykrzykuje moja matka.
- Pracę...? W zakładach, gdzie uczy się, jak zabijać? - pytam.

Zakłady mięsne są ulokowane nieco za miastem, Tak przynajmniej było kiedyś. Ale dziś rozrastająca się aglomeracja sięga już daleko poza niegdysiejszy teren. Okna bloków najnowszych osiedli wychodzą na zakłady. Mieszkańcy skarżą się na docierający do ich mieszkań odór. A ich dzieci zrywają się co rano i idą do pracy - tam. A ja czekam - na czas, kiedy o tworach takich, jak *zakłady mięsne* będzie się mówić z podobnym wstydem, jak dziś mówi się o niewolnictwie, mordach i obozach koncentracyjnych.

Blanka Eoli